Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 2. Luty 1931. Rok II.

NUMER POJEDYŃCZY 80 GROSZY
PRENUMERATA KWARTALNA 2 ZŁOTE

KURJER POWIEŚCIOWY

Czasopismo poświęcone książce. Wychodzi raz na miesiąc.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona 200 Zł., 1/2 strony 110 Zł., 1/4 strony 60 Zł.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Telefon 275-03. Senatorska 29. Warszawa. P. K. O. 13.355

Kronika literacka.

„Królewska Córka"— Michał Zevaco. Nadzwyczaj trafnie przedstawiony obraz panowania Ludwika XIII i Anny Austrjaczki, a właściwie rządów wzrastającego w potęgę kardynała de Richelieu — oto treść tej powieści. Złowrogiej potędze Czerwonej Eminencji przeciwstawia się córka zmarłego Henryka IV i pani de Lespars, która wypowiada wojnę mordercy swej matki. Akcja toczy się z błyskawiczną szybkością, trzymającą czytelnika w ciągłem napięciu! Sceny tragiczne ustępują miejsca epizodom, pełnym iście francuskiej werwy i dowcipu, czyniąc książkę nad wyraz interesującą.

„Dwie Eminencje" — Michał Zevaco. Powieść ta jest historją spisku na życie Ludwika XIII, to dzieje walki królewskiej i kardynała Richelieu z partją królowej i Gastona, brata królewskiego, to zwycięstwo potężnej Czerwonej Eminencji, za którą kryje się prawdziwy władca ówczesnej Francji — tajemnicza Eminencja Szara, ojciec Józef, dominikanin, ongiś Franciszek Le Clerc du Tramblay baron Maffliers. Powieść ta jest świetną ilustracją owej epoki intryg dworskich i wzmagającej się potęgi książąt Kościoła.

MICHAŁ ZEVACO

Królewska córka.

I.

ANNAÏS DE LESPARS.

We wspaniale urządzonym salonie siedział w swej czerwonej sukni, przybranej koronkami i djamentami, których wartość oceniano na piętnaście tysięcy franków. Jedną ręką wsparł się o poręcz fotelu, ozdobionego herbami, drugą przysłonił oczy. Był bowiem jednym z tych ludzi, którzy są przyczyną łez u innych, lecz, którzy nie dają widowiska ludziom ze swych łez.

Był jeszcze młody. Jego wąsy i hiszpańska bródka były zupełnie czarne. Twarz miał subtelną, o rysach ostrych i znamionujących siłę charakteru; czoło gładkie i białe. Ruchy, spojrzenie i całe zachowanie się mówiły o zasadniczym rysie charakteru: o dumie. W głębokiej ciszy marzył i... płakał.

Mężczyzna ten nosił imię, budzące w sercach wszystkich, co go znali respekt i grozę.

Był to Richelieu!

Pałac kardynalski został właśnie dopiero co ukończony. W początkach marca 1626 r. miała się odbyć uroczystość jego poświęcenia po mszy, odprawionej przez samego kardynała. Na mszę tę zaprosił cały dwór, swych przyjaciół, wrogów, słowem wszystkich, chcąc wszystkich olśnić swą potęgą i przepychem. I oto w tej chwili szeptał do siebie w duchu:

— Ona nie przyjdzie! Przez lokaja, jak lokajowi, oznajmiła mi, że nic ją nie obchodzi cały ten ceremonjał, ten akt uświęcenia mej władzy... Zdruzgotała mnie swą pogardą. Jestem poniżony, zdruzgotany pogardą tej kobiety, ja, przed którym drży całe królestwo! O, moja królowo! Co mam uczynić? Co przedsięwziąć?! Jaką okryć się sławą, aby wreszcie zwróciła na mnie swą uwagę? Oddałbym chętnie całą mą potęgę, radość bogactwa i władzy. życie nawet za jedno spojrzenie Anny Austrjaczki! Koniec... ona nie przyjdzie!

Nagle tuż przy nim jakiś głos szepnął:

— Wasza Eminencjo, Jej Królewska Mość, królowa Francji przybędzie do kaplicy!

Kardynał drgnął gwałtownie. Ujrzał pochylającego się przed sobą mnicha z kościstą twarzą, cynicznym, a jednocześnie jakimś nieledwie naiwnym uśmiechem z bezczelnem spojrzeniem małych oczek. W postaci jego było coś ze starego rębacza, kryjącego się pod habitem zakonnym. Był to długi i chudy kapucyn, wyglądający na przebiegłą sztuczkę. Czuć w nim było zdaleka szpiega. Richelieu zbladł i porwał mnicha za rękę:

— Corignan! Corignan! — Coś powiedział?

— Powiedziałem, że będziesz miał, Wasza Eminencjo, szczęście oglądania jej... że powita cię pierwszym swym uśmiechem...

— Mylisz się! — wyjąkał kardynał.

— Zapewniam, że, jeśli tylko zechcesz, będzie twoją!

— Mnichu! Mnichu! Tracisz głowę!

— Ejże, Wasza Eminencjo! Brat Corignan dowiódł ci, chyba, że nie jest kpem w swym zawodzie. Człowiek umie patrzeć, słuchać, a w razie potrzeby i wtrącić sam słówko.

— Powiedziałeś jej coś! — zawołał z dreszczem niepokoju Richlieu. Co mogłeś jej powiedzieć?

— Wasza Eminencjo, powracam z Luwru, gdzie widziałem się z panią de Givray, twoją... ambasadorką, akredytowaną przy królowej. Posłuchaj Eminencjo: Katarzyna Wielka miała Tuileries; nasz król ma swój Luwr; Marja Medycejska ma Pałac Luxemburski. Jedynie Anna Austrjaczka nie ma nic. A ty, Eminencjo, masz, ten wspaniały pałac nie gorszy od Tuile-

ries, obszerny, niczem Luwr, elegancki nie mniej od pałacu Luxemburskiego... Ty masz to wszystko... Czy mnie rozumiesz?

— Och! — wyjąkał gorączkowo kardynał... To jakiś cudny sen!... Gdybyż to było możliwem, że nie pogardzi...

— Że nie pogardzi?!... Wasza Eminencjo, jesteś genjalnym ministrem, nie znasz jednak kobiet tak, jak je zna biedny brat Corignan! Ja również mam swoją politykę, którą oddałem na twe usługi. Szepnąłem więc słówko na ucho pani de Givray. Powiedziałem jej... Daję słowo, miałem bezczelność powiedzieć jej, że pałac ten, budzący podziw całego świata, jest budowany nie dla kardynała, lecz dla pewnej znakomitej księżnej krwi i...

— Dokończ! Dokończ! — Przynaglił de Richelieu, drżąc z niecierpliwości...

— Znakomita księżna czeka potwierdzenia mych słów! — Wasza Eminencjo, kiedy mam zanieść do Luwru list, który zechcesz napisać do królowej Anny Austrjaczki?

Kardynał z trudem stłumił okrzyk szalonej radości. Zamknął oczy. Ręce przycisnął do piersi i oślepiony cudnem widzeniem, upojony nadzieją, szepnął schrypniętym, przepojonym namiętnością głosem:

— Dziś wieczór... około północy... w moim pałacu na placu Królewskim... czekam na nią!...

W tej samej chwili, jakiś mężczyzna czarno ubrany, który ukryty za kotara, słuchał całej rozmowy, przemknął przez ciemny gabinecik, w którym stał w ukryciu, minął długą galerję i znikł w zakrętach korytarza pałacu Kardynała.

— — — — — — — — — — — — —

Brat Corignan ukłonił się pokornie, poczem skierował się do drzwi salonu, otworzył je i... natknął się na kogoś, wchodzącego do pokoju. Owym kimś był dziwny stwór: spasły, na krótkich nóżkach, wyglądający na jakiegoś brzuchatego niedojdę, z twarzą bez zarostu, bladą z niepokoju, typowy szpieg...

— Rascasse! — warknął kapucyn. — Zawsze plączesz mi się pod nogami!

— Corignan! — zgrzytnął niedojda. Zawsze depcesz mi po piętach!

— Budzisz we mnie wstręt, mój szkrabie!

— Mierzi mnie twój wygląd, mój drabie!

Brat Corignan pochylił się, aby spiorunować swego rywala spojrzeniem, któremu towarzyszyło soczyste przekleństwo. Wspinając sie na czubkach palców, Rascasse żuł w ustach obelgę. Zżerani zazdrością obaj szpiegowie wrzasnęli jednocześnie:

— Spotkamy się jeszcze ze sobą!

Richelieu ciężko dyszał. Rascasse, cały okryty pyłem podróżnym, dreptał przed nim, przełamując się w czołobitnych ukłonach, któremi chciał zwrócić na siebie jego uwagę.

Kardynał zauważył go wreszcie. Natychmiast miłość, namiętność, wszystko ulotniło mu się z głowy. Na rozpaloną jego twarz wpłynął wyraz przebiegłości. Oczy nabrały lodowatego inkwizytorskiego wyrazu. Nagle zapytał:

— A pani de Lespars?

Szpieg wyprostował się... z ust jego padło krótkie:

— Nie żyje!

Kardynał zamyślił się. Poprzeczna zmarszczka przecięła jego czoło. Jedynie ostry uśmiech, że oczekiwana odpowiedź była pożądaną. Nienawiść tego człowieka musiała być również straszną jak i miłość. Zaczął przyglądać się szpiegowi, pochylonemu przed nim w ukłonie. Potem zagadnął półgłosem:

— Nie żyje?... dobrze! Powiedz mi teraz... kto dopomógł jej do zgonu?

Rascasse zadrżał. Nie mógł się zdecydować na kłamstwo... wahał się, walcząc ze sobą. Wreszcie powiedział w duchu:

— Ba, pan de Saint-Priac nigdy nie odważy się zdemaskować siebie!

Blady ze wzruszenia wobec odpowiedzialności, jaką obarczał swe sumienie, wyjąkał:

— To ja, Wasza Eminencjo... ja!

— Dobrym jesteś sługą, Rascasse. Pójdź do mego skarbnika, który czeka już na ciebie. To, coś mi w tej chwili oznajmił, cenne jest na wagę złota. Dziś wieczór w mym pałacu zdasz mi szczegółowo sprawę z twej podróży... do Angers i z tego, co sie tam stało. Możesz teraz odejść.

— Jeszcze chwila, Wasza Eminencjo, musiałem tu wrócić już od piętnastu dni, pani Lespars bowiem zmarła 23 lutego. Otóż, jeśli spóźniłem się, stało się to dlatego, że ktoś znikł nazajutrz po jej pogrzebie, ktoś, kogo obserwowałem przez cały miesiąc... a kto mi się wyślizgnął przez palce, w chwili, gdy już... ale, nic nie stracone...

— O kim chcesz mówić? Nie lubię domyślników, mości Rascasse!

— Wybacz, Wasza Eminencjo, ale chodzi tu o córkę tej szlachetnej pani... chodzi mi o Annaïs de Lespars...

— Annaïs! To dziecko!

— To dziecko podrzegało matkę! — Warknął głucho szpieg. Wasza Eminencjo, omyliliśmy się...

Kardynał zadrżał.

— Należało zostawić przy życiu matkę, a zabić córkę! — dodał Rascasse, uniesiony ambicją, przewyższającą, być może, jego siły.

Zimny wzrok kardynała błysnął gniewem. Rascasse dokończył swą myśl:

— Niebezpieczeństwo groziło stamtąd! Wymknęła mi się. W przeciwnym bowiem razie poszłaby za matką. Gdzie jest teraz? Ach, Wasza Eminencjo, powiadam ci, że dwudziestu zbuntowanych możnowładców ani się umyło do tej energicznej dziewczyny. Być może, że wystąpi bezpośrednio przeciw tobie, a wtedy — strzeż się! Annaïs de Lespars nie umie ani drżeć ze strachu, ani przebaczać, ani składać broni!

Richelieu zmarszczył brwi. Zamyślił się, obliczając za i przeciw... starając się ocenić sytuację. To już nie marzenia o miłości... Teraz marzył o morderstwie. Szukał... Szukał sposobów zduszenia tej dziewczyny za gardło, obmyślał jakiś sprytny podstęp, zasadzkę, w którą mógłby wciągnąć ją. Nagle podniósł głowę i wzruszył ramionami. Znalazł wyjście...

— Rascasse, zagadnął stojącego przed nim szpiega, — widziałeś w Angers tego barona de Saint-Priac?

— Tak, Wasza Eminencjo, odpowiedział szpieg powstrzymując dreszcz lęku. Jednocześnie ze mną udał się w drogę powrotną do Paryża, zaopatrzony w polecające listy, które mu pozwolą stanąć bez zwłoki przed tobą, Eminencjo. Ten człowiek to świetny nabytek, Wasza Eminencjo; dwadzieścia trzy lata, żadnych skrupułów, zdecydowany na wszystko, żywy umysł, mocna ręka... a w tej ręce szpada, bardziej może niebezpieczna, niż szpada samego Trescavela.

— Trescavela? — zapytał kardynał.

— Mistrza w sztuce robienia bronią, którego akademja jest najsławniejszą w całym Paryżu. Znam go. To jeszcze jeden, którego należałoby pozyskać dla naszej sprawy, Wasza Eminencjo.

— Zobaczymy. Raporty mówią, że ów Saint-Priac jest zakochany w pannie de Lespars. Czy to prawda?

— Oddałby duszę djabłu, gdyby djabeł obiecał mu za to Annaïs.

— A więc nie niepokój się już więcej tą sprawą, Rascasse, — rzekł Richelieu, którego wzrok błysnął

decyzją. Uwolniłeś mnie od matki... Saint-Priac, uwolnij mnie od córki...

— Ale jakim sposobem, Wasza Eminencjo?

— Poślubiając ją! — rzekł Richelieu ze złośliwym uśmiechem.

Szpieg, ordynarny zbir, Rascasse, nie mógł powstrzymać dreszczu grozy. Na dany przez kardynała znak oddalił się, szepcąc:

— Saint-Priac, mężem Annaïs de Lespars! Saint-Priac! To straszne! To straszne!

Po jego odejściu kardynał de Richelieu zadzwonił na służbę. Lokaj w paradnej liberji wszedł do pokoju i otworzył naoścież dwoje drzwi. Jedne z nich wiodły do olbrzymiej galerji, drugie do kaplicy. Salon napełnił się natychmiast tłumem dworzan, biskupów, kanoników i arcybiskupów...

Richelieu w całym rynsztunku swej władzy kardynalskiej ruszył do kaplicy, w otoczeniu długiego orszaku prałatów, intonujących triumfalną pieśń. W kaplicy, która była szczytem przepychu i sztuki, zagrały organy, wzniosły się do góry dymy kadzideł, płynące ze złotych kadzielnic, rozbłysły ognie tysiąca świec, tkwiących, w olbrzymich, wysadzanych drogiemi kamieniami świecznikach. Był to obraz niezrównanej wspaniałości. A w tych królewskich poprostu ramach grupa ludzi, lśniąca do klejnotów, jedwabi i drogich materyj: to Ludwik XII, Anna Austrjaczka, Marja Medycejska, Gaston, książę Andegaweński, książę Vendôme i Bourbon, Kondeusz, Rohan, Combalet, Aigiullon'owie, Montpensier, Chevreuse, Ornano, Saisson, Montmorency, Chalais, cała arystokracja rodowa, cały dwór, cała nieomal Francja, kornie pochylona przed jednym człowiekiem!

Na chwilę Richelieu przystanął przed wejściem do kaplicy. Promienny potęgą, wspaniały, ujrzał jak wszystkie głowy pochyliły się istotnie przed nim. Nagle, gdy już ruszał do ołtarza, zachwiał się na nogach: w głębi kaplicy w najciemniejszym jej kącie ujrzał postać niewieścią, spoglądającą w jego stronę z wyzwaniem i nienawiścią.

Była to młoda dziewczyna. Blondynka z czarnemi oczami. Piękna, dumna, promienna zuchwalstwem.

Richelieu zbladł ze wściekłości; Richelieu zadrżał. Wzrok jego błysnął szaloną groźbą... Wzrok dziewczęcia przyjął wyzwanie, sam był wyzwaniem.

W chwili gdy kardynał wstępował na stopnie ołtarza, był blady nienawiścią albo też strachem, ta bowiem, którą ujrzał przed sobą, wyzywała go do walki w imię prawa i sprawiedliwości... w imię zemsty... Głosem drżącym wyszeptał:

— Córka Henryka IV! Córka zmarłej! Annaïs des Lespars!

Córka Henryka IV.

Jaki dramat krył się w tych słowach? Kim była owa pani de Lespars, o której gwałtownym zgonie mówiliśmy przed chwilą? Jakie były jej winy, albo jakiej niecnej zasadzki stała się ona ofiarą?

Annaïs opuściła kaplicę, w chwili gdy rozpoczęło się nabożeństwo. Z bohaterską brawurą rzuciła panu wszystkiego i wszystkich prosto w twarz:

— Oto jestem! Pilnuj się! Ja czuwam!

Stało się. Rękawica rzucona. Przeszła ku wyjściu poprzez szereg komnat pełnych dworzan, straży pałacowej, szpiegów... Co jeśli zwróci na siebie uwagę swym skromnym strojem, śród tego przepychu? Co jeśli zaczepią ją żądając okazania zaproszenia na uroczystość? Jak je zdobyła? Przecież szereg możnych panów zabijało się, aby je zdobyć dla siebie... Wielkie panie ofiarowywały lokajom pałacowym tysiące, aby tylko być wpuszczone...

Szła krokiem pewnym, lekkim, ubrana w skromną aksamitną suknię, pod którą wdzięcznie zarysowywała się jej smukła, dziewczęca kibić. Na głowie miała podgięty z boku fetrowy kapelusz. Pod tem zuchwalstwem jednak kryła się wielka godność, skromność i czystość starożytnej amazonki. Szła nie pytając nikogo o drogę, jakby znała wszystkie te zakamarki pałacu, aż wreszcie spotkała się w jednej z dalszych pustych w tej chwili sal, z tym, który na nią czekał.

Był to ów czarno ubrany mężczyzna, który w małym gabineciku podsłuchiwał rozmowę kardynała z mnichem. Był to człowiek, który stał się posiadaczem strasznej tajemnicy miłości Richelieu'go do królowej Anny Austrjaczki.

Szybko, nerwowo zaczęła go wypytywać. Mężczyzna odpowiadał, rozglądając się podejrzliwie dokoła; mówił stłumionym głosem, jakby w obawie, aby jakieś nieostrożnie wymówione słowo nie zawiodło go na plac Grève. Rozmowa ich trwała parę minut, wreszcie czarno ubrany mężczyzna wrócił do wewnętrznych pokoi pałacu, podczas, gdy Annais de Lespars, jeszcze wzruszona tem, co usłyszała, oddaliła się szepcąc:

— Mnich ma być wieczorem... o północy... na placu Królewskim... Och! trzymam go już w ręku! Moja matko, będziesz pomszczona.

Gdy się znalazła na ulicy, przedarła się przez stojący pod pałacem tłum gapiów. Udała się na drugi koniec miasta w kierunku Temple. Wreszcie przybyła na ulicę Sainte-Avoye. Na rogu ulicy Courteau stał duży opuszczony pałac; Annaïs skwapliwie rozejrzała się dokoła, chcąc się przekonać, czy nikogo niema w pobliżu... potem podbiegła do pałacu, chcąc się do niego dostać za wszelką cenę. W tej samej chwili na ulicy ukazał się jakiś mężczyzna konno. Ujrzawszy Annaïs wydał okrzyk, zeskoczył na ziemię i zbliżył się do niej. Dziewczyna zadrżała:

— Baron de Saint-Priac!

Wyglądał przesadnie elegancko: rude wąsy silnie podkręcone do góry, włosy prawie czerwone, ślicznie uczesane w loki, pogardliwie wydęte usta, i bezczelne spojrzenie.

— Los nie chce rozłączyć nas, — zaśmiał się szyderczo zjadliwym głosem. Wyjechałem z Angiers, przypuszczając, że tracę panią na zawsze. Wyjeżdżam do Paryża i spotykam panią. Nie miała pani racji, próbując uciec ode mnie.

Odpowiedź Annaïs była ostra jak zacięcie spicrutą:

— Chwalisz się pan tylko. Aby uciekać przed panem, musiałabym bać się pana, a tymczasem jesteś mi pan tylko wstrętny, nic więcej. żegnam!

— Nie rozstanę się z panią! — wybełkotał Saint-Priac z powstrzymaną wściekłością. Czy wstrętny, czy nie — wysłuchasz mnie pani!

W głosie jego zabrzmiała dzika namiętność i groźba, a potem błagalna prośba i powstrzymalny szloch. Zaczął mówić o swej miłości, zapalając się, upajając temi słowami.

— Kocham panią! — zakończył zdyszany. Dziesięciokrotnie odtrąciłaś mnie, teraz jednak twoja matka nie żyje, musisz mieć kogoś, ktoby mógł stanąć w twojej obronie. Wysłuchaj mnie pani! Mam duży majątek, powiększy się jeszcze, kardynał bowiem de Richelieu wzywa mnie do służby przy sobie. Zostań baronową de Saint-Priac, a wejście na dwór królewski stanie ci otworem. Roztoczy się przed tobą życie pełne przyjemności i zaszczytów! Powiedz, och! powiedz jedno słowo... jedno tylko słowo! Nie odtrącaj mnie, nie doprowadzaj do rozpaczy.

Jakaś dziwna litość rozlała się na twarzy młodej dziewczyny, z ust jej padły straszliwe słowa:

— Prosisz mnie o jedno słowo, chciałam cię oszczędzić, zmuszasz mnie do tego, abym powiedziała to, co myślę: baronie de Saint-Priac, Annaïs de Lespars nie może być żoną złodzieja.

Baron zbladł.

— Idź pan swoją drogą! — dodała majestatycznym tonem. Ja pójdę swoją.

Wtedy Saint-Priac otrząsnąwszy się z przygnębienia wyprostował się, uśmiech wściekłości wykrzywił mu usta. Zastąpił dziewczynie drogę i zawołał:

— Złodziej! tak! to jeszcze nie wszystko! dowiesz się może pani kiedyś kim jeszcze jestem! złodziej! wiesz już o tem! otóż, tem większa racja, abyś była moją! Zdobywając ciebie zdobywam jednocześnie bezpieczeństwo osobiste!

— Ośmieliłbyś się...

— Odważę się na wszystko! — warknął Saint-Priac. Ponieważ cię odnalazłem, biorę cię!

Błyskając oczami, z twarzą wykrzywioną strachem i namiętnością podniósł rękę, gotując się do skoku. Nagle jakiś mężczyzna wyskoczył z pobliskich drzwi i gwałtownem uderzeniem w twarz odtrącił barona de Saint-Priac, wołając młodzieńczym, ironicznym głosem:

— A fe, mości szlachcicu! jakto, nie widzisz pan, że nudzisz panią?

Pijany wściekłością Saint-Priac podniósł się z ziemi, rozejrzał dokoła: Annaïs de Lespars znikła! Baron ujrzał przed sobą tylko nieznajomego, którego ręka wymierzyła mu tak dotkliwą karę. Zbliżył się do niego, bełkocąc:

— Masz przy sobie szpadę! do broni więc! nie zwlekając!

Blady i drżący dobył szpady.

— Jedną chwilę, mój panie! — rzekł zimno nieznajomy. Nie mam nic przeciw temu, by zmierzyć się z panem, lecz nie chcę zginąć na szafocie. Wiesz pan chyba o tem że wydano edykty. Schowaj pan broń, prędko!

— Do djabła, masz pan rację! Wybełkotał Saint-Priac. Edykty! Richelieu! Moje zezwolenie na audjencję! Moja karjera! Co chciałem uczynić? Gdzie i kiedy spotkamy się tak, żeby nas nikt nie widział?

— Jutro, z nastaniem nocy przy la Courtille du Temple. Będę na pana czekał.

— Dobrze. A teraz chcę wiedzieć z kim jutro się spotkam, komu wypruję serce, aby je rzucić moim psom. Pańskie imię!

— Przedewszystkiem pańskie, jeśli łąska!

— Baron Hektor de Saint-Priac!

— A ja — Trencavel! — powiedział nieznajomy z ukłonem. Trencavel prefekt Akademij: Florenckiej, Medjolańskiej i Toldańskiej, uczeń Barvillarasa, dyrektor Akademji przy ulicy Dobrych Dzieci, mistrz sztuki fechtunku!

Znowu się ukłonił z wielkim wdziękiem:

— Do jutra więc, mości baronie!

Saint-Priac pogroził mu ze wściekłością potem wskoczył na konia, spinając go okrutnie ostrogami; koń zarżał z bólu, a baron popędził do śródmieścia, ciągle poganiając biedne zwierzę. Mistrz fechtunku wzruszył ramionami, wszedł do domu, z którego wyskoczył przed chwilą, zatrzymał się jeszcze u stromych drewnianych schodów i, spuszczając głowę na piersi, szepnął:

— Nie spojrzała nawet na mnie!

— — — — — — — — — — — —

To prawda! nie spojrzała na niego. Zaledwie zwróciła na niego uwagę. W chwili, gdy się wmieszał do jej rozmowy z baronem, nie starając się nawet zauważyć, kto jest jej zbawcą, Annaïs de Lespars miała jedną tylko myśl: zapewnić sobie odwrót tak, aby Saint-Priac nie mógł się nigdy dowiedzieć, w jakim domu się ukryła. Szybko jak strzała skręciła na rogu ulicy Courteau i wpadła do uchylonych drzwi, które prawdopodobnie czekały tylko na jej przybycie, aby się otworzyć, a potem zamknąć szybko. W szerokim przedsionku odetchnęła swobodnie i uspokoiła się. Westchnęła głęboko.

— Ten szlachetny nieznajomy, który ma bić się o mnie...który dla mnie ryzykuje życiem, występując do walki z jednym z najniebezpieczniejszych w całej Francji rębaczy. Chciałabym wiedzieć, kto to jest...

Przez chwilę nadsłuchiwała w zamyśleniu, zdziwiona tem, że serce jej bije lękiem, potem szepnęła:

— Dość tego! nie mam prawa ani dłużej czekać. ani rozczulać się. Droga moja jest prosta, pójdę nią aż do końca, nawet tedy, gdybym na niej napotkała przepaść, która może mnie pochłonąć!

— — — — — — — — — —

Nauczyciel fechtunku wdrapał się po schodach aż pod dach domu, do którego wszedł, i znalazł się na jasnym poddaszu, w którym urządził sobie bardzo miłe mieszkanko. Podbiegł do małego okienka i wychylił się przez nie spoglądając na dół, gdzie znajdował się duży i piękny ogród.

— Czy zobaczę ją, jak ją widuję już od dziesięciu dni, siedzącą tam na ławce?

Ogród ten rozciągał się za pałacem, w którym mieszkała Annaïs de Lespars.

Trencavel był to młodzieniec dwudziestodwuletni, smukły, zgrabny i wesoły. Charakter miał pogodny, bez cienia goryczy w stosunku do ludzi, czasem jednak miewał napady wściekłego gniewu. Twarz miała wyraz naiwny i dumny, bujną czuprynę, naturalnie wijącą się, spojrzenie filuterne i uczciwe, usta mądre, a pod nosem gęsty wąs. Całość była niewypowiedzianie harmonijna, budząca sympatję, jaką zwykł budzić człowiek tchnący dzielnością i rycerską wspaniałomyślnością, od całej jego postaci bił blask młodości.

Tak tedy imć pan Trencavel z wysokości swego punktu obserwacyjnego spoglądał z miłosnym zapałem w ogród tej, którą uwielbiał, nie wiedząc nawet, kim ona jest.

Dwóch mężczyzn weszło do jego mansardy: jeden z nich atletycznej budowy, z szeroką jowialną twarzą, drugi zimny, skąpy w słowach, był wcieleniem wyniosłego sceptyzmu, słowem szlachcic w każdym calu, nieposzlakowany w zachowaniu się. Trencavel odwrócił się do wchodzących, wyciągając do nich obie ręce na spotkanie.

— Mistrzu, odezwał się kolos, a więc porzucasz twoją Akademję?

— Masz, do licha rację, mój szanowny pomocniku.

— A więc będę zmuszony zamknąć ją, a potem pójść i powiesić się?

— Trencavelu, — rzekł flegmatyczny szlachcic, dowiedziałem się, jakie nosi imie twoja nieznajoma...

— Mauluys! — wykrzyknął Trencavel, drogi hrabio! Moja wdzięczność...

— Nie mówmy o niej... dowiedz się tedy, że nazywa się ona...

Hrabia Mauluys zamilkł nagle, jakby zawahał się... wbił w Trencavela pełne współczucia spojrzenie... Imię tej, która zbudziła uczucie w sercu Trencavela było imieniem, za którem szedł strach i nieszczęście...

— No i? — zapytał goraczkowo Trencavel, — jej imie, — mój drogi przyjacielu?

— A więc nazywa się: Annaïs de Lespars.

— Annaïs! Zachwycające imię! Montariol, mój poczciwcze, jutro bijemy się! Biję się z niejakim Saint-Priac'iem, który ją obraził! Annaïs! Ach, mój drogi hrabio!

— Tak, imię jest czarujące. Znałem tego Saint Priac'a z Anjou, — bąknął Mauluys przez zęby. To rębacz, który może cię bardzo łatwo zabić. Byłaby szkoda.

— Kto to taki? Co robi w Paryżu?

— Nie wiem. Lecz zapytaj mego służącego... poczciwego Zielonka... Opowie ci wszystko, co wie o tym Saint-Priac'u, z którym stykał się przez czas jakiś... Wie o nim dużo. Wszystko co ja mogę ci o nim powiedzieć, jest to, że jest w stanie cię zabić.

— Tam do djaska, niech tylko spróbuje! — warknął Montariol.

— Cicho tam, pomocniku! To się jeszcze pokaże, do licha!

— To dobra okazja do wyćwiczenia ręki! — nastawał Montariol.

— Idę tedy, mój panie pomocniku. Drogi hrabio, dziękuję ci za to, że sprawiłeś mi taką radość.

— A więc, Trencavelu, jesteś zdecydowany kochać w dalszym ciągu pannę de Lespars?

— Kocham ją! — szepnął Trencavel pełnym namiętności tonem. — Od dziesięciu dni w życiu mojem nastąpił przewrót. Wyczekuję godziny, kiedy mogę ją zobaczyć siedzącą na tej oto ławce, a potem żyję tem wspomnieniem aż do następnego dnia. Gdy nie przyjdzie, wszystko we mnie zamiera. Hrabio, stało się: należę do niej ciałem i duszą!

— Dobrze — powiedział flegmatycznie Mauluys — czy chcesz, żebym ci coś powiedział?

— Powiedz, drogi hrabio, wiem, że nigdy nie mówisz niepotrzebnie....

— Otóż, mój Trencavelu, jeśli ów Saint-Priac nie przedziurawi ci piersi jakimś podstępem, miłość twoja zabije cię napewno. Annaïs de Lespars zasługuje na szacunek i na wierność...

— A więc? — zagadnął mistrz fechtunku.

— A więc ta piękna panna, szlachetnego charakteru, zachwycającej siły woli, ta panna, powtarzam, ma cień, który idzie wszędzie za nią, a cieniem tym jest: **nieszczęście!**

Montariol i Trencavel zadrżeli.

Tym samym obojętnym głosem hrabia Mauluys dodał:

— Grozi jej nieszczęście. Pociągnie ciebie za sobą. Byłaby szkoda...

Montariol zgrzytł w ustach przekleństwo. Trencavel uczuł, że jakiś dziwny niepokój ścisnął go za gardło. Otrząsnął się jednak z tego wrażenia i jeszcze nieco blady zawołał:

— Niech tam, mój hrabio! Wyzywam przeznaczenie! Zobacz jednak, że nie tak łatwo mnie zabić. Jest się mistrzem w sztuce robienia bronią... Jestem twardy, do licha, nie tak łatwo dam się zgryźć. Nieprawdaż, kolego?

Montariol warknał w odpowiedzi:

— O, tak! Jesteśmy twardzi! Niech tylko nas ruszą! Ho! ho!

II.

LIST RICHELIEU'GO.

Noc. Zegary kościelne biją jeden po drugim dziesiątą, jedne dźwiecznie, inne nadpęknięte; wszędzie panują ciemności, z wyjątkiem kilku nisz z figurami świętych, przed którymi dopala się ogarek świecy. Miasto ucichło, tylko tu i owdzie jakiś napadnięty przez łotrzyków przechodzień daremnie wzywa na pomoc straż miejską. Miasto z małemi wyjątkami śpi... i t. d.

Kogo zainteresował początek tej pięknej powieści, niech zaprenumeruje zbiorowe wydanie dzieł Michała Zewaco, a otrzyma ją wkrótce w wydaniu książkowem w broszurze lub w oprawie.

M. ŁUCZYŃSKA.

Błysk szczęścia.

I.

Przez różowe promienie zachodzącego słońca, wiły się serpentyną gęste kłęby dymu, wychodzące z komina fabrycznego, niby z sapiącego wiecznie wulkanu.

Lena spoglądała smutnym wzrokiem na ten ziejący krater, przenosząc kolejno spojrzenie mądrych, siwych oczu na piętrzący się z przeciwległej strony osady komin innej fabryki.

Pióropusze dymów z obu fabryk wytrysłych, wiły się długiemi wstęgami szarzyzny, zda się uciekały od siebie, okrążały rozpostarte dno nieba, aż wkońcu podały sobie długie palce sinych smug, zlewając się gdzieś, hen! pod horyzontem w jeden, ledwie dostrzegalny słup.

Za plecami Leny Dytrichówny, stanęła cicho wysoka postać kobiety o łagodnym wyrazie twarzy.

Dawna nauczycielka, obecna opiekunka Leny, dotknęła lekko ramienia wychowanki.

— Lenko!

Dziewczyna drgnęła gwałtownie.

— A! To ty, Balbisiu?

— Znów patrzysz na te kominy obrzydłe?

— Znów... I nie wiem czy prędko przestanę na nie patrzeć.

— Jesteś za bardzo wrażliwa, Lenuś...

— Balbisiu, ty taka rozsądna, taka szlachetna mówisz w podobny sposób?

— Spójrz... — wskazała drobną ręką wijące się kłęby dymu.

Balbina podniosła w górę pogodne, spokojne oczy.

— Dym, Lenko, — odparła cicho.

Dytrichówna trochę niecierpliwie poruszyła ślicznie zarysowanemi brwiami.

— Dym... Dym... — powtórzyła nerwowo.

— To przecież każdy widzi, że dym, ale nie uważasz, jak on tam... w górze łączy się w jeden potężny słup.

— Łączy się, Leno...

Dziewczyna szybko zbiegła z balkonu i nienaturalnym ruchem rzuciła się w fotel. Balbina poszła za nią.

— Uważam, że jesteś dziś zanadto podniecona, Helenko, czy spotkała cię jakaś przykrość?

— Nie...

Ukryła drobną twarzyczkę w dłoniach.

— Leno, czyż warto być tak drobiazgową?

Dytrichówna zerwała się.

— Ty to nazywasz drobnostką, Balbinko? Widziałaś te dymy?

— No... widziałam...

— Zauważyłaś, jak dym z fabryki Nelkena łączył się z dymem fabryki dytrichowskiej?

— No... tak, Leno... ale...

— Słuchaj, ja nie zaznam spokoju, póki Jerzy nie wynagrodzi krzywdy Nelkenom, dopóki między nimi nie nastąpi zgoda.

— Ale przecież to nie od ciebie zależy, Lenuś. Przecież starałaś się tyle razy wpłynąć na Jerzego.

Dytrichówna pochyliła główkę. Jej wielkie, siwe oczy przesłoniły łzy.

— Balbisiu, pomyśl — zaczęła po chwili — ile krzywdy, ile krzywdy doznali z naszej strony.

— Gdyby nie ta krzywda, młody Nelken nie byłby dzisiaj fabrykantem, lecz zwykłym tkaczem, jak jego ojciec.

Lena wzburzona pobiegła w ogród.

Słońce już zaszło, ale jeszcze po świeżo gracowa-

nych ścieżkach, tułały się odblaski czerwonej łuny zachodu.

Dytrichówna szła wolno między drzewami, rozmyślając o dwu wrogich sobie fabrykach.

Stary Nelken był tkaczem, zwykłym wyrobnikiem w fabryce jej ojca. Człowiek prawy, pracowity, poświęcający całe swoje życie dla syna, którego wysłał za granicę dla wyższej nauki i młodszej o lat kilka córki.

Zdzisłam Nelken z dyplomem inżyniera, szykował się z powrotem do ukochanych rodziców w chwili, kedy otrzymał telegram o nagłej śmierci ojca, porwanego rozpędzonemi kołami maszyny fabrycznej. Stało się.

Młody Nelken, chcąc pomścić śmierć ojca, z szalonej sumy pieniężnej, otrzymanej po stracie ojca, na przeciwległym krańcu osady założył wielkie tkalnie.

Powstało współzawodnictwo i obopólna nienawiść.

Lena była jeszcze wówczas podlotkiem, ale pamietała wszystko dokładnie.

W kilka lat później zmarł Dytrich, fabrykę przekazując Jerzemu, a znaczny majątek, przylegający do osady — Lenie.

Panna Dytrichówna nie znała Nelkenów. Wiedziała tylko, że pani Nelken zmarła na atak sercowy w kilka dni po śmierci męża, a siedemnastoletnią córką, opiekuje się obecny fabrykant Zdzisław Nelken.

Kilka lat spędzonych za granicą z nauczycielką, panią Balbiną, nie pozwalało, nawet pannie Dytrich, myśleć o tych sprawach, które głęboko ją zajęły natychmiast po powrocie do kraju.

Szary zmierzch zastał ją w głębokiem zamyśleniu.

— Przeziębisz się, Lenko...

— Dobrze, żeś mnie odwiedził, Jurku...

— Właśnie Balbisia mi coś mówiła...

— Mówiła ci? Co mówiła?

— że jesteś dziś w nienadzwyczajnym humorze, siostrzyczko.

— I co więcej?

— Więcej? Czyżby coś zaszło?

Pieszczotliwie objęła ramionami szyję brata.

— Jerzy... pogódź się z Nelkenem...

Drgnął gwałtownie.

— Helu... co tobie przychodzi do głowy?

— Jerzy... pomyśl, jaką krzywdę im wyrządziłeś wspólnie z naszym ojcem.

— Nie sądzę... — odparł chłodno. Taki tkacz ma nam do zawdzięczenia, że jest właścicielem fabryki.

Helena potrząsnęła ciemnemi lokami.

— Mylisz się... Fabryka Nelkena powstała dzięki jego pracy i wiedzy w tym kierunku.

Piękną twarz Jerzego wykrzywił ironiczny uśmiech.

Patrzał na nią z pod lekko zmrużonych powiek.

— Moje myśli są wszystkie jednakowo dobre, bo ona w żal, że straciła brata, z którym ją nie wiązała smugą promieni.

Ciemny płomień oblał śniadą twarzyczkę Leny.

— Zdaje się, że wiesz równie dobrze, jak ja sama, że czas spędzony zagranicą poświęciłam wyłącznie nauce, a skoro mówisz w podobny sposób — to tylko dzięki głupiej odziedziczonej po ojcu ambicji i egoizmowi.

Wybuchnął nienaturalnym śmiechem.

Helena obejrzała się przestraszona, bo wydało jej się nagle, że to nie śmiech brata, lecz tysiąc złośliwych duchów zaśmiało się w głębi ogrodu.

— Posiadasz gorszą naturę, niż przypuszczałam — odezwała się napozór spokojnie.

— Dzieckiem jesteś, Leno i proszę cię do tych spraw nigdy się nie wtrącaj, bo nie masz o nich najmniejszego pojęcia.

— A ty jesteś wstrętnym egoistą, marzącym tylko o tem, by zdobyć jaknajwięcej pieniędzy.

Dytrych spojrzał na siostrę zdumiony. Prawda rzucona mu tak śmiało w oczy, zabolała go mocno.

Usłyszał nagle to — o czem tylko przed sobą mówił.

— Zdumiewa cię, iż wyrwałeś mi z duszy tę ohydną prawdę, którą musiałam powiedzieć... ale wiedz, Jerzy, że pieniądze nie dają wszystkiego.

— Wspaniała jesteś! Pieniądze — grunt...

— Ja jestem innego zdania.

— Bo masz ich za wiele.

— Czy tobie mało?

— Mało... Mnie mało...

— Ogarnęła cię taka wściekła gorączka złota, iż zapominasz o wszystkiem... gubisz najświętsze uczucia i najlepsze myśli.

— Moje myśli są wszystkie jednakowo dobre, bo skupione u jednego celu.

— U celu miljonów... Czy tak?

— Tak.

Rozstali się, jak zupełnie obcy ludzie. On wpatrzony w piętrzące się kominy swej wielkiej fabryki — ona w żalu, że straciła brata z którym ją nie wiązała jedna wspólna myśl.

II.

W piękny niedzielny ranek, Lena wyjechała na swym wierzchowcu daleko za osadę.

Słońce złociło jasne wierzchołki drzew świetlaną smugą promieni.

Woń lip wisiała; jak obłok w świeżości sierpniowego ranka.

Na skraju drogi między białemi pniami brzóz, ujrzała śliczny niewielki domek otoczony wieńcem rozłożystych drzew, i żywopłotem dzikich róż płonących w słonecznych blaskach.

Zapatrzona w uroczy obrazek nie zauważyła głębokiego rowu przed którym wspiął się wierzchowiec, i wspiąwszy się na tylnych nogach przesadził go, gnając jak strzała.

Lena, nieprzygotowana na ten skok, straciła nagle równowagę, i upadła ciężko tuż pod drzewami otaczającemi kolorowy domek.

Gdy oprzytomniała z głębokiego omdlenia, przez zamglone jeszcze oczy, ujrzała pochyloną nad sobą śliczną, bladą twarzyczkę dziewczyny bardzo młodej jeszcze i wysoką postać mężczyzny.

Dalej nieco maczała w occie chusteczkę starsza kobieta o dobrodusznej twarzy.

Nie mogła przemówić słowa, czując dziwny chaos w głowie i ból prawej ręki.

— Boże... tak nas pani przestraszyła... — odezwała się stojąca przy niej panienka miękkim głosem.

A zwracając się do młodego człowieka, dodała:

— Zdzisiu, podaj tę poduszkę z krzesła, niewygodnie pani.

Lena chciała zaprotestować, ale poczuła jeszcze dotkliwiej ból ręki i dziwny szum w głowie.

Zdzisław uniósł tę zwichrzoną mnóstwem oków główkę, jak cenną zabawkę, delikatnie, miękko i położył pod nią trzymaną w ręku poduszkę.

Dytrichówna uśmiechnęła się słabo.

— Czy nic się pani nie stało?... i t. d.

MICHAŁ ZEVACO

Michał Zevaco, autor licznych i bardzo poczytnych powieści historycznych, urodził się w r. 1860 w Ajaccio, zginął w r. 1918 na polu chwały, pozostawiając po sobie żal licznych wielbicieli swego bujnego i wszechstronnego talentu. Świetna znajomość francuskiego Średniowiecza, pozwoliła mu stworzyć cały szereg, znakomitych w sile swego wyrazu, powieści przeważnie z okresu panowania ostatnich królów z dynastji Valois i pierwszych Bourbonów. Historja Włoch była mu również doskonale znana, to też jego powieści przeważnie z życia średniowiecznego Rzymu i Rzeczypospolitej Weneckiej pociągają swą znajomością tematu i siłą dramatycznego wyrazu. Dotychczas nieznany zupełnie w Polsce, napewno będzie witany przez naszą publiczność wielkiem uznaniem, chociażby dlatego, że tak historja Francji, jak i Włoch z owej epoki, jest nam bardzo bliska. Polska bowiem ciążyła i ciąży dotychczas w kierunku państw tych, z któremi wiązały nas losy dynastyczne i kulturalne.

Repertuar Teatrów

Wielki: „Orfeusz w piekle“.

Narodowy: „Piękne Polki“.

Nowy: „Rozkosz uczciwości“.

Letni: „Pani Ministrowa“.

Polski (g. 8): „Katarzyna“.

Mały: „Jaś z księżyca“.

Ateneum: „Ulica“.

Operetka Warszawska: „Noce w Kairze“.

Qui pro Quo: „Myszy bez kota“.

Morskie Oko (g. 7.30 i 10): codziennie wielka rewja p. t. „Hallo, Malicka i Sawan“.

Wesoły Wieczór: „Pieniądze dla wszystkich“.

Ananas: „Zawiany karnawał“.

Mignon: „Trzeba mieć zdrowie“.

REDAKTOR I WYDAWCA: STANISŁAW CUKROWSKI.

Zakł. Gr. Pr. Druk., Warszawa, N.-Świat 54, tel. 615-56 i 242-40.